

## **Ryszard M. Machnikowski: Polityka Trumpa a sprawa Polska**

Celem ścisłej współpracy państw nadbałtyckich powinno być wykorzystanie istniejących mechanizmów zarówno w ramach Unii, jak i NATO, by chronić podstawowe, egzystencjalne interesy, łączące je w zakresie obronności i bezpieczeństwa, w tym energetycznego – pisze Ryszard M. Machnikowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Nowa Europa według Trumpa.

Wizyta prezydenta Donalda Trumpa w Polsce, do której ma dojść 5 i 6 lipca, jest niezwykle ważnym gestem politycznym. Dodatkowego smaku wizycie Trumpa w Warszawie dodaje fakt, że jest ona połączona ze szczytem inicjatywy „Trójmorza” i odbywa się dzień przed szczytem państw grupy G20 w niemieckim Hamburgu. Symboliki w polityce nie należy przeceniać, ale nie należy również jej nie doceniać. Treść przemówienia, jakie Trump ma wygłosić w miejscu tak symbolicznym, jakim jest Pomnik Powstania Warszawskiego na pl. Krasińskich, wzniesiony ku czci heroicznego oporu Polaków przeciwko niemieckiej agresji i okupacji, skierowanego do sojuszników Ameryki w Europie Środkowej jest równie istotna. Nie jest przesadą stwierdzenie, że żyjemy w przełomowych czasach, w których widać już zarys zasadniczych zmian zarówno w polityce europejskiej jak i globalnej; zatem i to przemówienie może okazać się przełomowe. Idealnie byłoby, gdyby amerykański prezydent jednoznacznie przypomniał o amerykańskich „gwarancjach” dla państw „wschodniej flanki” NATO zagrożonych rosyjską agresją, związanych ze stałą a nie rotacyjną

obecnością znaczącego amerykańskiego kontyngentu wojskowego w Europie Środkowej oraz możliwym ścisłym sojuszu energetycznym, dającym pewność, że Polska i inne kraje tej części Europy nie będą więcej podatne na próby gazowego szantażu ze strony Rosji. Ścisła współpraca militarna i energetyczna Polski i USA powinna być także wsparta znaczącymi amerykańskimi inwestycjami w naszym kraju. Czekając zatem na to, co Polakom i światu już niedługo powie w Warszawie nowy amerykański prezydent, warto scharakteryzować podstawowe procesy, których jesteśmy świadkami, a których skutki mogą okazać się przełomowe. Polska musi znaleźć strategię reakcji na dynamiczne zmiany zachodzące wokół nas, a potencjalne bliskie, by nie rzec „specjalne”, relacje z Ameryką powinny w tym pomóc.

Po pierwsze, już wkrótce należy spodziewać się podjęcia kolejnej próby budowania zrębów „europejskiego superpaństwa”, poprzez utworzenie wspólnego osobnego budżetu państw strefy euro i stanowiska „ministerstwa finansów” Eurolandu, co w przyszłości ma zapewne prowadzić do wspólnego systemu podatkowego państw do niego należących. Istotne są także propozycje KE stworzenia wspólnych holdingów obligacji państwowych oraz Europejskiego Funduszu Walutowego. Konsekwencją tego ma być także powstanie osobnego Parlamentu dla Eurolandu, o czym wspominał już komisarz ds. finansów Pierre Moscovici. Wszystko to uzasadnia się oczywiście lepszą zdolnością reagowania na przyszłe „kryzysy” finansowe państw członkowskich i koniecznością lepszej kontroli europosłów nad sprawami finansowymi strefy Euro. Ten „skok na kasę” planowany przez eurokratów, gdyż inaczej nie da się tego nazwać, zaczyna zyskiwać poparcie władz Niemiec, w tym kanclerz Angeli Merkel, do tej pory dość sceptycznych wobec takich propozycji KE oraz, od niedawna także nowego prezydenta Francji, Emmanuela Macrona. Już wkrótce powinniśmy dowiedzieć się więcej o planach na najbliższą przyszłość,

gdyż na 13 lipca w Paryżu planowane jest wspólne posiedzenie rady ministrów Francji i Niemiec, po którym zapewne zostanie oznajmione pozostałym krajom Unii jakie to „europejskie” decyzje zostały ostatecznie podjęte przez „Emmangelę”.

Po drugie, zgodna z tymi zamiarami będzie kolejna już próba utworzenia „europejskiej wspólnoty obronnej”, tym razem w formacie tzw. PESCO, czyli „stałej unijnej współpracy strukturalnej w dziedzinie obronności”. Początkowo będzie to próba objęcia kontrolą europejskiego rynku zbrojeniowego poprzez utworzenie Europejskiego Funduszu Obronnego, którego powstanie jest motywowane koniecznością racjonalizacji wydatków na zbrojenia. Nie może to dziwić, gdyż realne zdolności wojskowe państw unijnych, zwłaszcza po Brexicie, są w zasadzie nieistotne – siły zbrojne Francji są zbyt nieliczne, by eurokraci mogli liczyć na efektywnie działania militarne na większą skalę, a o potencjale innych krajów europejskich nie warto nawet wspominać w tym kontekście. Trudno zresztą sobie dziś wyobrazić, jakie działania wojskowe miałyby w ogóle wchodzić w grę (czy wciąż dobrze znane „cele petersberskie”? ). Można zatem spojrzeć na stworzenie PESCO i EFO jako na kolejny skok na kasę planowany przez eurokratów, niemniej jednak w sensie politycznym „europejskie” inicjatywy obronne niemal zawsze miały wyraźnie antyamerykańskie, a zatem także anty-NATO-wskie ostrze (co było zresztą główną przyczyną ich niepowodzeń w czasach „zimnej wojny”), więc nie należy nie dostrzegać i tego aspektu tej sprawy. Parafrazując dobrze znane stare powiedzenie Lorda Ismay o celach dawnego NATO, cele PESCO to „*keep the Germans up, the Americans out*” (przynajmniej biznesowo) i jeśli nie „*the Russians in*”, to przynajmniej „*to ease out making deals with them*”.

Po trzecie, wielki społeczny eksperyment transformacji zachodnioeuropejskich państw narodowych w społeczności multikulturowe, dokonywany poprzez zachęcanie do przyjmowania imigrantów z obszaru MENA będzie, jak wszystko na to wskazuje, kontynuowany w najbliższym czasie, zatem „presja imigracyjna” na kraje europejskie będzie to narastać, to nieco maleć, wraz z kolejnymi falami napływu ludności afrykańskiej i bliskowschodniej do Europy. To zaś będzie skutkować widocznymi już problemami społecznymi, z którymi zachodnioeuropejskie systemy socjalne zmuszone będą sobie radzić.

Po czwarte, niezależnie od tego, czy do „instrumentów finansowych” w budżecie po 2020 r. uda się Niemcom i eurokratom wprowadzić mechanizmy „karania” finansowego tych państw, które opierają się „przyjmowaniu uchodźców” czy też nie, w związku ze zmianą priorytetów budżetowych związanych z migracją czy choćby wspomnianą wyżej obronnością, oraz, o czym nie należy zapominać, także w związku z Brexitem (i spowodowaną nim dziurą po wpłatach brytyjskich do wspólnego budżetu UE) można swobodnie przyjąć, że na środki strukturalne i wspólną politykę rolną w nowym budżecie na okres po 2020 r. będzie przeznaczonych znacznie mniej środków niż do tej pory. W dużej mierze dotknie to dotychczasowych biorców netto tych środków, a zatem także i Polskę.

Tworzenie się tzw. „Europy dwóch prędkości” (czy inaczej „jądra i peryferii”), czyli jeszcze bardziej scentralizowanej i niedemokratycznej Unii, o czym dyskutuje się w Europie od co najmniej kilku dekad, wymaga od polskiego społeczeństwa i władz strategicznych decyzji. Nietrudno zauważyć, że skutkiem wyżej wymienionych trendów będzie

Projekty eurokracji stawiają nas w konieczności przemyślenia strategicznego wyboru, który zdeterminuje polską politykę na lata, jeśli nie na dekady

dalsze, bardzo poważne ograniczanie suwerenności państw narodowych, do zaniku ich kluczowych prerogatyw włącznie (takich jak kwestie obronności,

bezpieczeństwa, imigracji czy finansów – które chce przejąć na siebie mianowana, lecz niewyberana elita europejskiego „superpaństwa”). Wśród konsekwencji należy rozważać znaczący wzrost znanego także od lat „deficytu demokratycznego” w UE (propozycja utworzenia nowego europarlamentu, zasugerowana przez komisarza Moscovici jest śmiechu warta, podobnie jak niedawne pomysły prezydenta Macrona na ogólnoeuropejskie „społeczne konsultacje”, by uzyskać „consensus”), co oznacza radykalny spadek choćby biernego wpływu „obywateli europejskich” na kluczowe procesy polityczne w Unii. Skutkiem proponowanych zmian będzie także, już zresztą widoczne, antagonizowanie się Europy z USA, także poprzez chęć zastępowania NATO w kwestiach bezpieczeństwa (które zresztą jako sojusz wszystkich państw członkowskich już nie istnieje, ze względu na wyjście Turcji, *de facto* oczywiście, a nie *de iure*, z sojuszu z zachodnią Europą). Widać także wyraźnie, że władze Niemiec oraz eurokrajka liczą bardzo na to, że zapleczem energetycznym tej nowej, „multikulturowej” Europy rządzonej przez światło, nieulegające „populizmowi”, euroelity będzie Rosja, co nie jest nam w smak, gdyż oznacza faworyzowanie projektów energetycznych z udziałem tego państwa i marginalizowanie przedsięwzięć mających na celu rzeczywistą dywersyfikację źródeł energii w Europie, w tym z udziałem amerykańskiego gazu (czego zresztą od dawna jesteśmy świadkami). Te

wszystkie projekty eurokracji stawiają nas w konieczności przemyślenia strategicznego wyboru, który zdeterminuje polską politykę na lata, jeśli nie na dekady.

Środowiska sceptyczne wobec tak planowanej transformacji Europy snują różne dywagacje na temat tego co należy zrobić, by uchronić się przed jej negatywnymi skutkami. Projekty rozważane przez niektórych na poważnie, zarówno tak egzotyczne jak „Polexit” czy ścisły sojusz z Chinami, jak i brzmiące bardziej sensownie jak „Międzymorze”, czy jego nowa inkarnacja w postaci „Trójmorza”, nie rokują dobrze, gdy chodzi o możliwość praktycznej ich realizacji lub wręcz są całkowicie nierealne, ze względu na brak zainteresowanych partnerów. Pójście w ślady Brytyjczyków jest w przypadku Polski zarówno nierealne, jak i niewskazane, ze względu na nasze położenie (nie jesteśmy wyspą leżącą z dala od groźnych sąsiadów) i nasz status (nie jesteśmy byłym imperium, tylko krajem wciąż na gospodarczym dorobku). Dla Chin nigdy nie będziemy poważnym partnerem, szczególnie *vis a vis* Berlina i Paryża – zawsze będziemy przez Pekin traktowani instrumentalnie (co w stosunkach międzynarodowych jest normą, ale czasem zdarza się wspólnota interesów dwóch państw, a tak w tym przypadku nie jest). Pozostałe kraje grupy V4 są zbyt małe i nie zdecydują się na włączenie w jakiegokolwiek działania, które nie będą akceptowane w Berlinie, Paryżu i Brukseli, nie mówiąc już o takich, które będą odbierane jako działania konkurencyjne wobec nich, a takim jest przecież pomysł „Międzymorza” (dotyczy to nawet Węgier, a z całą pewnością Słowacji – kraju Eurolandu i Czech, mocno zintegrowanych gospodarczo z Niemcami – niech słynne „27:1” będzie tu stałym *memento*). To samo do pewnego stopnia można powiedzieć o krajach bałkańskich – zarówno Bałkanów Zachodnich (Chorwacja, Słowenia), jak i Wschodnich (Rumunia, Bułgaria). Jeżeli w ogóle istnieje jakakolwiek sensowna alternatywa dla karnej akceptacji realizacji wskazanego

wyżej w punktach europejskiego scenariusza (czyli przyjęcia zarówno Euro, jak i mas emigrantów, oraz zgody na drastyczne ograniczenie suwerenności i demokracji poprzez transfer kolejnych istotnych funkcji państw narodowych na poziom „europejski”), to należy jej upatrywać jedynie w próbie budowy ścisłego sojuszu z USA, do którego stopniowo uda się doprosić kraje basenu morza bałtyckiego, gdy dostrzegą one korzyści z niego płynące.

Od razu trzeba przy tym stwierdzić, że nie będzie to ani łatwe, ani natychmiastowe. Do tego potrzeba przede wszystkim wspólnoty fundamentalnych interesów politycznych i ich percepcji. Tak się składa, że w krajach leżących nad Bałtykiem najłatwiej oba te elementy odnaleźć. Ani w Finlandii, ani w Szwecji, ani, co jeszcze bardziej oczywiste, w tzw. krajach przybałtyckich (Estonia, Łotwa, Litwa) nie musimy przekonywać prawie nikogo co do tego, że nasz wschodni sąsiad może stanowić realne zagrożenie, jak i co do tego, ile warte byłyby ewentualne „europejskie” gwarancje bezpieczeństwa. Kraje te nie są silnie zależne od Niemiec, tak jak pomniejsze kraje środkowoeuropejskie i bałkańskie, a w przypadku Szwecji czy Finlandii (oraz Danii) mają względnie duże i nowoczesne gospodarki. Wszystkie te kraje potrzebują siebie nawzajem gdy chodzi o kwestie obronności, ale potrzebują także mocnego oparcia w jedynym światowym supermocarstwie zainteresowanym powstrzymaniem Rosji. Celem ścisłej współpracy państw nadbałtyckich z USA nie powinno być oczywiście stworzenie jakiegoś nowego sojuszu czy unii (chyba, że doszłoby do formalnego rozpadu UE i NATO, co wydaje się dziś jednak mało prawdopodobne), tylko wykorzystanie istniejących mechanizmów zarówno w ramach Unii, jak i NATO, by chronić podstawowe, egzystencjalne interesy, łączące je w zakresie obronności i bezpieczeństwa, w tym energetycznego.

Mimo światowej mody na posądzenia o prorosyjskość, żadne dotychczasowe realne działania podejmowane przez prezydenta Trumpa na arenie międzynarodowej nie wskazują, by miały one jakiegokolwiek uzasadnienie. Wręcz odwrotnie, dotychczasowe decyzje podjęte przez administrację Trumpa są o wiele bardziej antyrosyjskie, niż decyzje podjęte przez administrację prezydenta Obamy. To Trump, nie Obama, występuje militarnie przeciwko rosyjskiemu (i irańskiemu) klientowi, prezydentowi Asadowi w Syrii (szczególne godne uwagi jest tu militarne wsparcie dla Kurdów, także wbrew stanowisku Turcji). To Trump, nie Obama, podjął decyzje umożliwiające intensyfikację eksportu amerykańskiego gazu. To Trump, nie Obama, stoi zapewne za decyzją o przeniesieniu dowództwa wojsk amerykańskich z Niemiec do Polski i miejmy nadzieję, podejmie decyzję o ich stałym, a nie rotacyjnym pobycie na „wschodniej flance” NATO. To sekretarz obrony Trumpa, gen. James „Mad Dog” Mattis, przestrzegł „wschodnie despotie” przed nowym obliczem wojny, która wg. jego słów ma się dla nich okazać „krótka, ale śmiertelnie skuteczna”.

Jest rzeczą oczywistą, że Polska musi dysponować własnymi siłami i środkami militarnymi, pozwalającymi zadać potencjalnemu agresorowi straty radykalnie obniżające „opłacalność” militarnej agresji na nasze państwo, ale potrzebuje też jednoznacznego wsparcia politycznego w działaniach na rzecz zwiększania naszych zdolności obronnych. Tak się składa, że o takim wsparciu wspominał także prezydent Trump. Spodziewane ograniczenie napływu środków unijnych po 2020 r. powinno być traktowane nie jako zagrożenie dla Polski, ale szansa na stanięcie, po ćwierćwieczu przyzwyczajenia (by nie mówić o uzależnieniu) od unijnych dotacji, na własnych nogach. Program forsownej modernizacji infrastruktury naszego kraju zmierza powoli do nieuchronnego końca, pora teraz na program utrzymywania stałego

wzrostu i rozwoju gospodarczego w oparciu o własne zasoby i ich systematycznego zwiększania. W ciągu najbliższych kilku lat Polska powinna odbudować zarówno swoją gospodarkę jak i zdolności militarne i właściwie wykorzystać amerykańskie wsparcie, które, należy o to zabiegać, w tym dziele powinniśmy otrzymać. Dobrym przykładem może tu być polityka gospodarcza i obronna Izraela, o której niedawno pisałem na łamach TPCT. Jeśli to się uda mniej będziemy się musieli obawiać kolejnych „kryzysów” wybuchających zarówno na zachodzie naszego kontynentu jak i na wschodzie (możliwy chaos w Rosji spowodowany załamaniem putinowskiego reżimu pod ciężarem kryzysu gospodarczego i niezadowolenia, zwłaszcza młodszej, części rosyjskiego społeczeństwa lub brutalnymi represjami tegoż reżimu w odpowiedzi na narastające społeczne protesty), gdyż lepiej będziemy sobie w stanie poradzić z ich skutkami. Jeśli to wszystko się nie uda, po prostu podzielimy los pozostałych słabych państw tego kontynentu.